

WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.



WYDALONA.

Obrazek z życia Polaków pod panowaniem pruskim.

Odznaczony 1-ą nagrodą na konkursie „Tygodnika Illustrowanego“.

PRZEZ

ZOFIĘ KOWERSKĄ.

WYDANIE DRUGIE.



WARSZAWA. — 1919. — SKŁAD GŁÓWNY
W „KSIĘGARNI POLSKIEJ“, WARECKA 15.



br. 35631

DRUK. KLAMKOWSKI I RAJSKI
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 21

WZ-271/2024

„Dalej, a z wiarą“.

Zadzwoniono do moich drzwi... Zerwałem się śpiesznie, by otworzyć; przypuszczałem bowiem, że oznajmiał się pacjent *), rzadko zjawiający się u mnie w godzinach płatnego przyjęcia. Zdziwiłem się, ujrawszy dziecię, które ręką ledwo do klamki dostać mogło. Była to dziewczynka widocznie do uboższych klas społeczeństwa należąca; miała sukienkę po kostki, grube obuwie, fartuszek z granatowego płótna i włosy uczesane w dwa warkoczyki, związane z tyłu skrawkiem białego perkalu. Znalazła się tak prędko przede mną, gdym tylko zasuwkę otworzył, iż mogłem mniemać, że się przez wąską szparę uchylonych drzwi wśliznęła. W nieco ciemnym przedpokoju stworzenie to rozpoznać się z początku nie mogło, rozglądało się i kręciło z taką żywością i zręcznością ruchów, że od razu mię zajęło i rozśmieszyło.

— Tu tak ciemno...— zaczęła dziewczynka. — Czy to pan doktor?

— Tak. A czego chcesz, moje dziecko? Chodź tu dalej, kiedy nie lubisz ciemności.

Wprowadziłem ją do gabinetu i spojrzałem na twarzyczkę okrągłą, rumianą, z zadartym noskiem, małemi oczkami, błyszczącemi jak iskry i dwoma dołeczkami, w których

*) Pacjent—chory.

zdawał się czatować śmiech, gotowy w każdej chwili otworzyć usteczka małe, czerwone jak rozdwojona niedojrzała wiśnia.

Usiadłem i przyciągnąłem do siebie ciekawie rozglądające się dziecię.

— Tyś przecie nie chora?

Zapytanie moje wydało się jej tak zabawne, że się nie mogła powstrzymać od śmiechu szczerego, serdecznego, przy którym szyjka jej drgała, jak gardziółko śpiewającego ptaka. Ja śmiałem się także, nie wiedząc wcale, czego. Zażaliła mię swoją wesołością.

— Widzę, żeś nie chora—rzekłem; — chorzy tak się nie śmieją.

— Ja przyszedłem do pana doktora—zaczęła śpiesznie i śmiało, — bo widzi pan doktor... tata taki zły, jak nie ma czego czytać, że aż strach... Teraz już gazeta do taty nie przychodzi... Mama wczoraj mówiła do Maciejowej, że tata dlatego do karczmy idzie, że się w domu nudzi... Jak wróci z fabryki, a niema gazety na stole, to już mu wszystko źle...

— Któż to twój tata?

— Robotnik w fabryce. Przychodziła do nas gazeta z Poznania, ale teraz wypędzają takich robotników, co mają polską gazetę... Więc ja przyszedłem do pana...

— Gdzież wy mieszkacie?

— A tu, w tym samym domu, co i pan, na górze.

— Przysłał cię tata?

— O nie! To my z mamą takeśmy sobie pomyślały... Do pana przychodzi bryftrygier*)... pewno pan ma gazetę... Jak tylko pan przyjechał, zaraz Maciejowa nam powiedziała, że ten pan, co pod nami mieszka, to doktor, Polak.

— Więc chcesz, żebym ci dał gazetę dla taty?

— A tak.

*) Bryftrygier—listonosz.

— Dobrze. Ale cóż ty mi dasz za to?

Spojrzała na mnie bystremi, świecącemi oczkami i widocznie się namyślała.

— Mam burego kota—zawołała z radością i dumą.—
Dam go panu!

Nie chcę burego kota—rzekłem. — Chcę, żebyś mię pocałowała. A jak ci na imię?

— Dorotka.

Od tej chwili między mną a Dorotką zawiązała się przyjaźń. Przychodziła codziennie po gazetę i jeżeli, co się najczęściej zdarzało, nie zastawała u mnie nikogo, brała mnie i mój pokój w swoje wyłączne posiadanie. Nazywała mię „mój złoty panie“, w pokoju odkrywała zawsze coś nowego i ciekawego, co ją do śmiechu i wesołości skłaniało. Gospodarowała w mieszkaniu, jak gdyby wszystko, czego dotknęła, do niej należało; ale czyniła to z taką zręcznością, zwinnością i wdziękiem, że ruchliwość jej nie drażniła mię wcale. Umiała zresztą zniknąć jak myszka, gdy spostrzegła, że byłem zajęty lub zamyślony. Zmuszona do chwilowego spoczynku, cierpiała widocznie, jak ptak złapany nagle i w klatce zamknięty. Gdy ją czasem wzięłem na kolana, a ona przez delikatność nie śmiała z nich zeskoczyć, czułem przebiegające przez nią dreszcze niecierpliwości i nerwowego niepokoju. Nie mogła żyć bez ciągłego ruchu, śmiechu, zajęcia, swobody. Jej wejście i zniknięcie, gdy u mnie zastawała poradę lekarską, porównywałem z przelotem jaskółki. Umysł jej i wyobraźnia niemniej żywymi i wrażliwymi były. Pewnego dnia, oglądając jakąś książkę na moim stole, otworzyła ją przypadkiem na stronicy, gdzie się znajdował rysunek szkieletu ludzkiego.

— To śmierć! — zawołała i zbladła nagle jak chusta. Trzęsła się cała, a oczy jej wyrażały przerażenie tak wielkie, że mi ją musiał uspokajać i wziąć w objęcia, gdzie się dopiero bezpieczną poczuła. Znałem dokładnie z jej opowiadania stosunki jej rodzinne. Była zupełną sierotą. Matkę

straciła, gdy miała zaledwo dwa miesiące. Wkrótce potem jej „rodzony tata“ ożenił się z jej „teraźniejszą mamą“, ale kocioł pękł w fabryce i robotnik poparzony umarł. Przybrana matka była od lat pięciu żoną innego robotnika, Jana Zawisłaka. Janostwo mieli troje dzieci, które Dorotka nosiła, niańczyła, kołysała. Wystawiała mi ona siebie jako osobę niesłuchanie pracowitą, noszącą dzbankiem wodę z pompy, dopóki się beczułka na strychu nie napelni, zamiatającą izbę i strych, robiącą wełniane pończochy dla matki na zimę. Pompowanie i noszenie wody mogłem sam stwierdzić jako naoczny świadek. Okna pokoju, w którym sypiałem, wychodziły na dziedziniec, i widywałem Dorotkę ciągnącą wodę w ten sposób, że się na rączce pompy zawieszala całym ciałem, a potem podskakiwała, gdy rączka szła w górę. Wykonywała to ze zręcznością nadzwyczajną. Gdy nareszcie zmusiła do wytryśnięcia ubogi, cienki strumień wody, który napełniał jej dzbanek, brała naczynie, stosunkowo ciężkie, przechylała się cała w jeden bok, wyciągała w powietrze rękę próżną, szukając ile możności równowagi i biegła śpiesznie, bez tchu... byle dobieść do bramy. W bramie stawiała na chwilę dzbanek i zaraz słyszałem jej piosenkę ulubioną, której słów rozróżnić nie mogłem i tylko często powracającą zwrotkę wyraźniej wymawianą zapamiętałem:

. a ta kokoszcza
Latała, podrygała koło ogródeczka.

Otwierałem czasem lufcik, żeby jej powiedzieć dzień dobry, a gdy widziała, że byłem świadkiem jej sztuk akrobatycznych*) przy pompowaniu wody, śmiała się z siebie z owem rozkosznem, ptasiem drganiem krtani, które tak lubiłem.

— Ten dzbanek za ciężki dla ciebie, — rzekłem jej raz, gdy na wieczór przyszła po gazetę.

*) Sztuki akrobatyczne znaczy tu: podskoki.

— Nie, wcale nie ciężki—odparła. — Ręka od niego zemdleje, to sobie zaraz odpocznie i już!

Pewnego dnia wpadła do mnie śpiesznie, ale ani na chwilę zatrzymać się nie dała: musiała myśleć o usłudzeniu wszystkim w domu, bo matka jej była chora.

Wiedziałem, że w rodzinie ubogiej, do której zajrzała choroba, doktor jest zawsze gościem pożądanym: po obejściu więc nielicznych moich pacjentów w miasteczku poszedłem na górę do przybranych rodziców Dorotki. Na wstępie przyjemnie mnie uderzyła czystość, jaką tchnęło mieszkanie ubogich ludzi. Naczynia kuchenne błyszcząły i ustawione były rzędem na półce, jako ozdoba izby; dzieci czysto poumywane, łóżka porządnie usłane, pościel chorej gruba, ale schludna. Dorotka siedziała na niskim stołku i właśnie gdym wchodził, krzykliwie wyśpiewywała: „...„A ta kokoszcza latała, podrygała koło ogródeczka...“ Noga poruszała zapamiętałe kołyskę, wahając się całym ciałem przy każdym jej pochyleniu się. Palce dziewczynki, uzbrojone w grube druty, przerabiały oczka szorstkiej wełnianej pończochy. Czynności te, spełniane poważnie i z rodzajem namiętności, sprawiły, że nie odrazu dostrzegła moje wejście. Dopiero po chwili zerwała się:

— Mój złoty panie!

Zbliżyłem się do chorej, usiadłem obok niej i naprzód zacząłem mówić jej o mojej przyjaźni z Dorotką. Czulem, że ją sobie zjednał odrazu. Patrzała na mnie dużemi, wybladłemi oczyma, w których była słodycz i rezygnacya*). Dorotka wyśpiewywała ciągle, chcąc uspić płaczące dziecko. Wtem wyskakująca ze starego zegara kukułka wykukuła siódmą. Zauważyłem wtedy nagłą zmianę na twarzy chorej: w jej oczach odbił się niepokój, wzrok jej obiegnął izbę

*) Rezygnacya—zgadzanie się z losem swoim.

wkoło, zatrzymał się na dzieciach... Dorotka zerwała się szybko, zapaliła lampę, postawiła ją na stole, obok niej położyła gazetę, przystawiła krzesło, a potem przeciągnęła kołyskę w najciemniejszy kącik. Dwoje dzieci, bawiących się klockami z drzewa na środku izby, poczęło zbierać zabawki i wsunęło się do pewnego rodzaju alkozy między dużym, wysuniętym piecem a ścianą. Kot drzemiący na ławie zeskoczył z niej jakby nagłą przejęty trwogą i schował się pod szafę... Po chwili rozległy się ciężkie kroki na schodach: do mieszkania wszedł wysoki, barczysty mężczyzna w ubraniu rzemieślniczym. Wyraz jego twarzy uderzał surowością i twardością nieubłaganą. Nie dojrzał mięsiedzącego w cieniu, rzucił tylko pogardliwym wzrokiem na łóżko; a że jedno z dzieci wyszło było z za pieca po ostatni, nie zabrany jeszcze klocek, krzyknął więc ostro:

— Dzieci, na miejscel

Zrobiła się w izbie cisza zupełna. Nawet popłakujące półtoraroczne dziecko umilkło, choć Dorotka przestała poruszać kołyskę.

— Mężul—ozwała się nieśmiało chora—pan doktor...

— Co? — krzyknął. — Ja nie mam pieniędzy na doktorów!

Puściłem rękę chorej, której puls badałem, i podniosłem się. W tej chwili dopiero mię spostrzegł, zmieszał się nieco. Kobieta rzekła pośpiesznie:

— Pan doktor przyszedł tu sam... nie posyłałam po niego... Dorotka poszła po gazetę...

Podąłem rękę gospodarzowi.

— Mam nadzieję,—rzekłem—że wszystko będzie dobrze. Właściwie doktor żonie pańskiej potrzebny nie jest... Przeszedłem tylko jako sąsiad, jako przyjaciel Dorotki.

Ruszył ramionami.

— To one pana z gazety okradają—rzekł szorstko.— Nakłamały mi tu, że panu pisma niepotrzebne...

— Wistocie. Oddaję je po przeczytaniu.

— Ale na dyabła mi ta gazeta! Robotnik, gdy się cały dzień napracuje, niech zje kolację i idzie spać... to jego psie prawo! Niech po nocach nie czyta, światła nie wypala i basta!

Pięść jego runęła o stół...

— Robotnik jest obywatelem kraju, jak każdy inny— rzekłem pojednawczo.

Roześmiał się gorzko.

— Obywatelem kraju jest ten, kto ma siłę, kto ma pieniądze. Obywatelem kraju jest Niemiec, bo mu wszystko wolno! Piękny mi obywatel z pana i ze mnie, kiedy nas mogą na cztery wiatry rozpędzić i nikt się o nas nie upomni! Niech każdy z nas trzyma gazety niemieckie, żebyśmy copędzej zapomnieli naszej mowy i wiary!... Dobrze im tak, tym redaktorom z Poznania, którzy myślą, że głową mur przebijają!... Przepraszam pana, ale mi się jeść chce.

Dorotka już była cichutko postawiła na stole misę ziemniaków ze słoniną, butelkę piwa i szklanekę. Usiadł i ze zmarszczonem czołem jeść począł.

— Żona pańska potrzebuje śpiesznie kobiecej pomocy — rzekłem. — Trzeba zaraz pójść...

— A to piekło z temi kobietami! — krzyknął. — Dyabli mi nadali się żenić!... Nawet spokojnie kolacyi człowiek zjeść nie może!

— Jedz pan — rzekłem; — idę właśnie na spacer, wstąpię po kobietę i przyślę ją tu...

Odprowadził mię do drzwi, wysilając się na spokojność: ale czułem, że burza popędliwości wrzała w nim głucho.

W nocy zbudziło mię nagle szarpnięcie dzwonka. Ubrałem się napędce, zapaliłem światło, otworzyłem. Przede mną stała Dorotka, blada, wylękła, trzęsąca się, nawpół odziana.

— Mama bardzo chora! — zawołała. — Ta pani, co tam jest, kazała mi poprosić pana.

Śpiesznie pobiegłem za dzieckiem na górę. Pomoc moja była wistocie potrzebna. Udało mi się uratować życie matce rodziny. Nie zastałem męża przy jej łóżku; dopiero w chwili największego niebezpieczeństwa wszedł z przekleństwem na ustach.

— Jeszcze światło w izbie! — krzyknął. — Cóż to, nie możesz chorować po ciemku? Wielka panil

Ratunek, którego potrzebowała chora, zajął całą moją uwagę. Dopiero gdy niebezpieczeństwo było zażegnane, dostrzegłem robotnika stojącego przy łóżku, zalanego łzami. Uciekł, dostrzegłszy, że jego wzruszenie zauważył. Dorotka nie było; z płaczącym dzieckiem matka wyprawiła ją była do sąsiadki.

Przez kilka dni następnych odwiedzałem chorą, potrzebującą jeszcze wielkiej czujności i starania. Miałem współczucie dla biednej kobiety, pragnąłem powagą nauki osłaniać ją przed popędliwością i gburowstwem męża, którego wybuchy ponawiały się ciągle na widok niedołęstwa i beczynności żony. Przestał mnie się wstydzić, i miałem przed sobą do naga odkrywającą się naturę dziką, zrzucającą jarzmo wszelkiej wstydlivosti i przymusu, ile razy otoczona się czuła istotami zależnymi i bezsilnymi. Oburzenie moje na tego człowieka czasami nie miało granic; lecz błagalne wejrzenie kobiety wstrzymywało słowa na moich ustach. Kilka razy, w jego nieobecności, usiłowała bronić go przede mną.

— On ma tylko taką szkaradną głębę — mówiła, — ale zły nie jest... Taką ma naturę, że kogo najbardziej lubi, to na niego najbardziej wymyśla.

Przez cały czas choroby Janowej Dorotka staowała dla mnie przedmiot ciągłego podziwu. Jej małe nóżki biegały bezustannie po izbie. Sprzątała, ścierała, zmywała, uspokajała dzieci. Do kominka musiała przysuwać stoleczek, żeby na nim postawić garnki; słała łóżka też stojąc na podwyższeniu. Najzabawniejsza rzecz była, gdy usłu-

giwała przybranemu ojcu. Wtedy jej ruchy stawały się jeszcze żywsiymi, zdawała się odgadywać myśli jego, patrzyła mu w oczy bystro, jakby w nich czytała. Za ledwie się obejrzał, z pod jego łokcia wyrastała na stole misa z jedzeniem lub kufel piwa. Gdy wychodził, stała u drzwi obładowana jego odzieniem i laską, którą się podpierała. Czapkę jego kładła tymczasem na własną głowę i podawała mu ją w ostatniej chwili. Czyniła to wszystko wesoło, z ustami gotowemi do śmiechu, który wyglądał ciągle z drgających na jej buzi dołeczków. Czasem odważyła się nawet roześmiać głośno przy tym strasznym człowieku, co zdumiewało młodsze dzieci, stałe oczekujące za piecem na wyjście ojca. Wyglądały stamtąd kiedy niekiedy, podnosząc główki jak pisklęta w gniazdku i chowając je natychmiast trwożliwie. Gdy wyszedł, wyskakiwały hałaśliwie z ukrycia i Dorotka uciszać je musiała, przypominając, że matka jest chora.

Kobieta miała się wszakże coraz lepiej, tak że jej nareszcie pewnego dnia po obiedzie wstać pozwoliłem. Wieczorem przyszedłem zobaczyć, jak podniesienie się z łóżka na nią odziało. Siedziała na ławie przygarbiona i osłabiona, wyglądała strasznie mizernie i blado. Mąż jej czytał gazetę przy lampie. Gdym wychodził, spostrzegłem, że go w izbie nie było. Spotkałem go czekającego u moich drzwi.

— Chciałem się z panem doktorem rozmówić—rzekł grubym, urywanym głosem, jak gdyby szorstkością chciał pokryć jakieś zmieszanie, czy niepokój:

— Może ona za wcześnie wstała?

Udałem, że nie rozumiem.

— Kto? — zapytałem ostro.

— A no, moja kobieta.

— Nie sądz pan — odparłem surowo, — żeby złość

i grubiaństwo pańskie dla żony wpłynęło choć odrobinę na moje postanowienie. Mam przekonanie, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, i dlatego pozwoliłem jej wstać.

— Skarżyła się przed panem na mnie?—zapytał przez zęby, zaciskając pięści.

— Ona pana broni,—rzekłem, bojąc się następstw jego gniewu dla nieszczęśliwej kobiety; — mówi, żeś pan dobry dla niej i dla dzieci; ale widzę, że przez nią przemawia tylko zaślepiona miłość... Pan jesteś najgorszym mężem i ojcem.

Spojrzał na mnie ze wściekłością.

— Złym jestem, bo mi się tak podobał — zawołał — i nie radzę nikomu wtrącać się do spraw moich!

— To są nie tylko sprawy pańskie, ale także słabych, których pan uciskasz... Każdy ma prawo bronić nieszczęśliwych, jak może i umie... choćby tylko powiedzeniem słów prawdy ich ciemiezcom.

Rozśmiał się dziko.

— Więc to są nieszczęśliwi! — zawołał — a ja jestem człowiek wolny, szczęśliwy!... Mnie nikt nie ciemieży, nikt nie uciska!

Zaczął wstępować na schody, lecz zatrzymał się nagle i odwrócił:

— Z człowieka może się stać bydlę—rzekł głucho,— gdy go judzą, pomiatają, drażnią, dopóki go wściekłość nie porwie... Popracuj pan w fabryce między Niemcami, zaciskaj pan tam usta od rana do wieczora, żeby ci się przez nie piana nie wydostała, a zobaczysz, co się jej w twojem gardle nagromadzi. Najspokojniejsze zwierzę, gdy je ciągle batami okładają, znarowi się wkońcu, a potem narów staje się jego naturą. Poczekaj pan!... Oni tu i panu dadzą rade! Jesteś pan młody i zdaje ci się, że masz odwagę... Zaczynasz pan dopiero, ale oni cię zmordują, podkopią wszystko wkoło ciebie, tak że co krok chwiać się i upadać będziesz... Nareszcie zerwiesz pan sobie nogi na tej dro-

dze... nie dojdiesz pan nigdzie i tylko przyczepi się do ciebie albo złość, albo niedołęstwo, albo podłość, że staniesz się przechrztą z języka, nazwiska i wiary...

Stał na wązkich schodach, odwrócony ku mnie w połowie. Jego potężna postać wydawała mi się jeszcze wyższą i silniejszą w słabym świetle lampki nafcianej. Słowa jego padały na mnie z góry; była w nich taka gorzka ironia *), a jednocześnie jakaś fatalistyczna **), głęboka wiara, że ciężko uwieźły mi w duszy. Poszedł powoli po schodach, uginających się pod jego krokami.

— Przyczepi się do ciebie albo złość, albo niedołęstwo, albo podłość!...

Zdawało mi się, że jakiś wyrok wygłoszono nad moją głową. Dopiero znalazłszy się wśród własnych kątów, otrząśłem się z przykrego wrażenia i uczucie oburzenia dla przybranego ojca Dorotki złagodziło się przymieszką litości.

Dziewczynka poczęła znowu regularnie przychodzić do mnie po przeczytany dziennik. Zostawała czasem dłużej i w obcym miasteczku, gdzie jeszcze prawie nikogo nie znał, była moją jedyną przyjemnością i pociechą. Jej szczebiot mnie rozrywał. Gdyby nie ona, byłbym może śmiać się zapomniał. Takem był przywykł do wchodzenia razem z nią wesołości w moje smutne ściany, żem się przeraził naprawdę, gdym jednego dnia spostrzegł, iż była zamyślona i nieswoja.

— Co ci jest dzisiaj? — zapytałem; — czy się buremu kotowi jakie nieszczęście przytrafiło?

— Już panu powiem... mój złoty panie... sama nic wymyślić nie mogę... Wczoraj zmówiłam pacierz i położyłam się... tata myślał, że ja już śpię i zaczął z mamą

*) Ironia — szyderstwo. **) Fatalistyczna — przesądna.

rozmawiać... Jakiś urzędnik mu mówił, że mnie trzeba wydalic... odesłać za granicę...

Zacząłem się śmiać serdecznie:

— Ciebie wydalic? Oto mi niebezpieczna osoba!... Widzisz, jak to źle, kiedy małe dziewczynki podsłuchują, co ich rodzice mówią! Nie rozumiałaś, o co chodziło... Niemcy z dziećmi wojny nie prowadzą, nie wydierają ich matkom... zaręczam ci, żeś sobie tę całą historję przez sen wymyśliła...

— Kiedy mówili, że mój „rodzony tata“ był stamtąd, i że ja...

— Ale dajże pokój! Mogę cię zapewnić, że się o ciebie nikt nie troszczy.

— Pan prawdę mówi?—zapytała, patrząc mi w oczy.

— Zaręczam ci, moje dziecko, że to być nie może.

— I mnie się tak zdaje—zawołała, zapominając odrazu troskę, którą od doby prawie nosiła w sercu.—Przecież ja im nic złego nie robię... I gdzieżbym ja poszła bez mamy?... Żeby pan widział, co to był za lament u Franciszkowej Kostrzewiny, jak ją wyprawiali! Już w izbie nic nie było, ani łóżka, ani krzesła, ani żadnego garnuszka, bo wszystko było sprzedane, tylko odzież leżała na podłodze, powiązana w tobołki. Jakem tam przyszła z mamą, dzieci i Franciszkowa siedziały na tych tobołkach i już tak płakały!... Nie widziały nic, czy kto wchodził, czy wychodził, i tylko zawodziły... I ludzie, co się schodzili na pożegnanie, płakali także... tylko trzech chłopcy od stolarza Niemca, co mieszka w tym samym domu, śmieli się z tego lamentu, aż się za boki brali... Franciszkowa najwięcej żałowała wiśniocy... jak ją z obórki wyprowadzali, to podobno tak ryczała, że wszystkie dzieci naraz w płacz uderzyły.

Opowiadała te szczegóły z szeroko otwartymi oczami i takim wyrazem grozy na pobladłej twarzyczce, że m się starał myśli jej odwrócić od przykrego wspomnienia.

— Kupiłem wczoraj cukierków dla pewnej buzi

z dołeczkami, co się śmiać lubi — rzekłem, otwierając biurko.

Frunęła jak ptak z moich kolan i już gospodarowała w szufladzie. Smutne wspomnienia ustąpiły przed rozkoszną rzeczywistością. Gdy odeszła, myślałem o tej jakiejś zabobonnej płochliwości ludzkiej, która obok rzeczywistych gromów i nieszczęść widzi jeszcze inne w wyobraźni zrodzone, najczęściej śmiesznie nieprawdopodobne. Zawiślakowie, zatrwożeni wydalaniem Polaków, poddanych obcych, zapewne sami przyszli do szalonego wniosku, że ośmioletnie dziecko może być pod ogólne prawo podciągnięte.

Oboje z Dorotką zapomnieliśmy wkrótce o podsluchanej przez nią rozmowie przybranych rodziców. Dziewczynka była wesoła i swobodna, jak dawniej, cieszyła się z nadchodzącej zimy, a na myśl o białym, puszystym śniegu skakała z radości. Opowiadała mi, jakie to ona miała schowane na strychu saneczki, które jej zrobił Stach, syn takiego, jak jej tata, robotnika z fabryki. Powiedział, że i tego roku będzie ją niemi woził.

— Mój złoty paniel pan przyjdzie zobaczyć, jaka to doskonała zabawa!

Przyszła zima i śniegu dzieciom nie brakowało. Było go tak wiele, że ludzie pytali jedni drugich, czy pamiętają, by kiedy leżało go tyle po polach i drogach. Dorotka i Stach, brzydki, zezowaty chłopczyzna, wystawili bałwana ze śniegu pod moim oknem w dziedzińcu, i trzeba było widzieć, jak się dzieci koło owego stracha zwijały, jakie zdrowe rumieńce tryskały im z policzków. Gdy Dorotka dokończyła dzieła umieszczenia dwóch węgli, mających wyobrażać oczy, patrzące w moje okno, radość jej nie miała granic. Wykonała rodzaj tańca wkoło niekształtnej postaci, wydając głośne okrzyki. Boże, jakże to stworzenie radowało się życiem! W zimowym, bladym słońcu kwitło, bujało zdrowiem, szczęściem, weselem...

W połowie stycznia wracałem raz do domu i miałem już wejść na schody, prowadzące do mego mieszkania, gdy uwagę moją zwrócił jakiś niewyraźny przedmiot, który się był poruszył w ciemnym kącie zamkniętej od dziedzińca bramy. To coś żywego zaciekało mnie, bo widziałem tylko szary, drżący węzełek. Zbliżyłem się: z kąta ciemnej bramy rozległ się rozdzierający krzyk trwogi, w którym poznałem głos dobrze mi znajomy.

— Dorotka! — zawołałem.

— A, to pan! myślałam, że to, że to...

Skoczyła ku mnie drżąca i nawpół nieprzytomna, czepiając się mojego odzienia.

— Co ci jest? Na miłość Boską, co ci jest?

— Cicho! — zawołała — cicho, bo usłyszał!

— Kto? Dziecko, co ci się stało? Zaziębisz się tak w jednej sukieneczce!

— Cicho, cicho! — powtarzała, błędnym wzrokiem rzucając wkoło siebie — mój złoty panie, cicho!

— Chodź ze mną zaraz! — rzekłem stanowczo — zaprowadzę cię do matki.

Poczęła uciekać z jakimś dzikim wyrazem twarzy. Myślałem, że zmysły postradała... Gdy się siliła nad otwarciem ciężkiej klamki w bramie, wzięłem ją na ręce i poniosłem na górę. Wydierała mi się z rąk, płacząc spazmatycznie i powtarzając ciągle bezprzytomnie: „Cicho! cicho!”

Nie chciałem przestraszać jej matki, karmiącej małe dziecko; sądziłem zresztą, że Dorotka potrzebuje pomocy lekarskiej; wszedłem więc z nią do mojego mieszkania. Ujrawszy się w znanym sobie pokoju, przestała mi się wydierać z rąk, owszem, przytuliła się, trzymając mnie mocno za szyję. Całe jej ciało drżało konwulsyjnie, łkanie nerwowe rozsadało jej piersi. Chciałbym był podać jej wody lub jaki środek uspokajający, ale rąk jej oplecionych wkoło mojej szyi rozerwać nie mogłem. Łkanie

jej już się było nieco uspokoiło, gdy po schodach górnego piętra rozległy się ciężkie męskie kroki.

— Idą tu! idą! — krzyknęła dziewczynka.

Uścisk jej rąk miał teraz w sobie coś dzikiego, niedłwie zwierzęcego; prawie oddychać nie mogłem, duszony drobnymi rączkami dziecka.

Myślałem, że popędliwy opiekun ją wybił i że się bała jego nowej napaści.

— Nikogo tu nie puszcę — rzekłem — i przed wszystkimi cię obronię.

Patrzała z przerażeniem ku drzwiom, rozpaczliwie przytulona do mnie.

Kroki męskie minęły drzwi i usłyszeliśmy je schodzące na dół. Usiłowałem rozerwać Dorotkę, opowiadałem jej wymyślone zdarzenia, któreby ją były innym razem do nieutulonego śmiechu pobudziły. Zdaje mi się, że mię słyszała, lecz ani śladu wesołości nie było na jej twarzy. W pewnych odstępach, coraz rzadziej powracało łkanie, wstrząsające jej ciałem i co chwila czułem kurczowy uścisk jej rąk, zarzuconych na moją szyję. Wpadła w nowy paroksyzm *) strachu, gdy się dzwonek u moich drzwi rozległ. Była to Janowa, szukająca jej i przychodząca wkońcu dowiedzieć się, czy jej u mnie niema. Kobieta miała oczy czerwone; załamała rękę, stając przede mną.

— Cóż ja teraz pocznę nieszczęśliwa! — zawołała. — Chcą mi dziecko zabrać... odesłać za granicę... Gdybym miała ją jedną, poszłabym za nią... ale gdzież nam się przenosić z takim drobiazgiem! Czy to już niema sprawiedliwości na świecie? Czy to już o nas Pan Bóg zapomniał?... A ojciec święty w Rzymie... On pewno nie wie, co tu z nami wyrabiają...

Dorotka patrzyła nieprzytomnym, przerażonym wzrokiem w twarz matki.

*) Paroksyzm — napad.



— Niech się pani uspokoi! — rzekłem — niema takiego okrutnego rządu na świecie, któryby ośmioletnie dziecko wydzierał rodzinie... Tutejsza polityka działa jak bezmyślna machina w ruch puszczona. Podamy sprawę sądowi wyższej władzy... Zaręczam pani, że obawy pani są próżne. Niemcy są narodem cywilizowanym...

— Powiedzieli, żeby przed pierwszym marca wyniosła się za granicę państwa.

— Do tego czasu mamy jeszcze sześć tygodni. Przez sześć tygodni sprawa może się dostać do samego sejmu. Nadzieja zabłysła w oczach kobiety.

— Niemiec jest zły, nie cierpi Polaka, to prawda, ale przecie wierzy w Boga, chociaż protestanckiego, ale zawsze w Boga... Będzie się bał, żeby Pan Bóg na jego dzieciach go nie pokarał... Toć ja tę sierotę od małości wychowałam i chodziłam koło niej jak koło własnego dziecka. Krzywdy ode mnie nie miała. Oj, a co jabym też poczęła bez niej!... Toć jabym sobie sama rady nie dała z czworgiem małych dzieci! To mi i wody przyniesie, małego pokołyszcie i przewinie, izbę zamiecie i łóżka pościelcie... Każdy ją w domu lubi aż strach... i mąż, choć on jej ani brat, ani swat...

— Ja się z mężem pani rozmówię. Ułożymy, jak mamy się bronić, i nie damy sobie zabrać Dorotki.

Zajrzałem w oczy dziecka. Oschłe już były z łez, ale palił się w nich jakiś gorączkowy ogień, który nienaturalną czerwonością barwił policzki. Z wyrazu twarzy dziewczynki poznałem, że zrozumiała naszą rozmowę.

— No, chodź, sieroto: — rzekła Janowa — dziecko tam pewno krzyczy wniebogłoso, a ja mam dziś roboty po uszy.

Dorotka poszła za matką, chwając się, tak była płaczem osłabiona.

Wieczorem, gdym usłyszał na schodach ciężkie kroki

Jana, wracającego z fabryki, otworzyłem drzwi i prosiłem, by wszedł na chwilę do mnie.

— Kolacya mi wystygnie — odparł niechętnie — człowiekowi chce się jeść jak psu, gdy się napracuje.

— Mam przekąskę... porozmawiamy przy piwie.

Posadziłem go przy stole, położyłem śpiesznie przed nim chleb, ser, kiełbasę, nalałem kufel piwa, żeby go głód do złości nie doprowadzał.

— Pan zapewne nie wiesz jeszcze, — rzekłem, widząc go jedzącego — że przyniesiono dziś do was z policyi rozkaz, żeby Dorotkę najpóźniej do pierwszego marca za granicę wytransportowano *).

Poblądł i popatrzył na mnie przez chwilę zdumiony...

— A co, nie mówiłem? — zawołał zaraz potem z pewnym tryumfem. — Ja to zaraz powiedziałem mojej kobiecie, jak tylko zaczęli się dowiadywać z policyi o dziewczynę. Dobrze jej tak! (wpadał w coraz większe uniesienie) — poco szła za obcego!... poco cudze dziecko do serca wzięła jak własne!... Wielka mi tam rzecz jedna dziewczyna! Baba z wozu, koniom lżej. Będę miał mniej bębnów do żywienia i kwita!

— Pozwolisz pan, żeby ośmioletnie dziecko...

— A cóż ja mam zrobić? Chcesz pan, żebym łaził po ich urządach, żebym im łapy lizał? Niech ciemieją, niech gniołają, żeby i jedna noga nie została! Od tego są!... Na dyabła życie naszym dzieciom. Im prędzej wymordują, tem lepiej. Panom, co mają trochę pieniędzy i nauki i mogą jechać, gdzie chcą, to się zdaje, że człowiekowi tu żyć łatwo. Plują ci w oczy, a ty milcz... patrzą na ciebie jak na zwierzę, z pod oka, pogardliwie, a ty się śmiejesz; bluźnią ci przeciwko twojej ojczyźnie, a ty słuchasz, jakbyś nie słyszał; wojują kłamstwem, oszczerstwem, a tobie i pary z ust puścić nie wolno; wmawiają ci spiski, intrygi, napaści, i choć-eś

*) Wytransportować — wywieźć.

niewinny, nie możesz się bronić... Pięść cię świerzbi, gdy sto razy na dzień słyszysz przekleństwa przeciwko Polakom, ale ją schowaj za pazuchę, żeby nikt nie wiedział, jak się kurczy, bobyś chleb stracił z żoną i dziećmi!

Świerzbiąca go pięść uderzyła z całej siły w stół. Drgnąłem, szklanki i talerze na stole się zatrzęsły.

— Zdrowo nam tak, zdrowo! Poco nam ta głupia ojczyzna, ten język!

— Pan doskonale kwestyę*) narodową pojmujesz — rzekłem, — ale o nią w tej chwili nie chodzi... Mówiliśmy o Dorotce. Jesteś pan naturalnym jej opiekunem i masz obowiązek bronić jej przed samowolą policyi. Widzę, że dla pana jest to zupełnie obojętne, czy ona żyje, lub nie, i gdzie żyje...

— Tak! — krzyknął — dbam o to jak o moją ślinę! Splunął na środek pokoju, potem utkwiał wzrok w kuflu stojącym przed nim, zamyślił się głęboko, twarz jego przybierała powoli wyraz smutku i bólu.

— Wszystko, co ci Niemiec chce zabrać, to jego! — rzekł wreszcie przytłumionym głosem. — Dzieckoś sobie wychował, cóż, że cudze?... aleś je obłaskawił... do ręki ci idzie jak swoje, i choć na nie krzykniesz, nie patrzy na ciebie jak na wilka, bo wie, że to nie ze złego serca, lecz ze zgryzoty... śmieje się do ciebie, jak do dobrego człowieka... Masz z niego uciechę, to je zabrać, wysłać, żebyś i tego nie użył. Ale niedoczekanie wasze...

Nie pożegnawszy mnie, wyszedł, głośno za sobą drzwiami rzucając.

Nazajutrz poczynił wszelkie potrzebne kroki prawne dla bronienia Dorotki. Wysłał ją z żoną do policyi, gdzie kobieta płakała, całując ręce komisarza i błagając go, by jej z dzieckiem nie rozłączano. Wysilała się na najlepszą niemczyznę, na jaką się zdobyć mogła; pomimo to urzę-

*) Kwestya — sprawa, zagadnienie.

dnik powiedział, że on takiego języka nie rozumie, a widząc Dorotkę czepiającą się rozpaczliwie matczynej spódnicy, w której fałdach twarz ukrywała, dodał, że „te przekłute matki polskie uczą dzieci od urodzenia, że każdy Niemiec to dzieciojad“. Obiecał wszakże następnie Janowi, przychodzącemu wytłumaczyć mu sprawę z lepszą niemiecką wymową, że się odwoła do władzy właściwej i sprawę przedstawi.

To wszystko opowiedziała mi Janowa.

Nie wątpiłem, że do wydalenia dziecka nie przyjdzie; chwilami wszakże ogarniał mię jakiś niepokój, i chciałbym był przyspieszyć czas do pierwszego marca, by ten termin już przebyć i mieć z tej strony zapewniony spokój. Bałem się, by stan niepewności i obawy, w jakim żyła Dorotka, nie nadwerzęzył jej zdrowia. Wróciła ona do swych przyzwyczajzeń i zabaw, ale mógłbym powiedzieć, że były to tylko paroksyzmy*) wesołości i zapomnienia. Wśród śmiechu często jakiś dreszcz wstrząsał jej ciałem, i wtedy oglądała się trwożliwie za siebie, jak gdyby się lękała tajemnej napaści. Ciemności ją przerażały, i jeżeli, przyszedłszy po gazetę, została dłużej u mnie, tak że przez ten czas mrok zapadł, bladła, otworzywszy drzwi, na widok ciemnych schodów. Musiałem ją aż na próg jej mieszkania odprowadzać. Zapytania, które mi czasem zadawała, świadczyły, że trapiła ją ciągle uparta, wyłączna myśl. Wśród zabawy podnosiła naprzykład nagle na mnie przenikliwe oczęta i pytała:

— Czy cesarz nie ma wcale dzieci?

— Ma dużo dzieci i wnuków...

— Ma i wnuki?... Ale on chyba ich nie lubi... Są tacy ludzie, co dzieci nie lubią...

*) Paroksyzm — napad.

— Owszem, on swoje wnuki kocha.

— To on wie, że dzieci same sobie rady dać nie mogą...

— Wie o tem i nie pozwoliłby, ażeby jakimukolwiek dziecku w jego państwie wyrządzano krzywdę.

Innym znów razem:

— Czy rewolwer pański nabity?... Ten, co leży w szufladzie?

— Zawsze nabity.

— A ilu można z niego zabić niedobrych ludzi?

— Niema tu takich złych ludzi, którychby zabijać trzeba.

— A tacy, co dzieci zabierają?

— O, z takimi już jabym się dobrze rozprawił.. Żadnegobym dziecka zabrać nie pozwolił.

— Mój złoty paniel Tataby też dopomógł... on jest taki mocny, że mu nikt nie może dać rady... On się wydaje bardzo zły dla dzieci, ale to tylko tak... jak nikt nie widzi, to mnie czasem nawet po głowie pogładzi.

— To ty tatę lubisz?

— Cobym nie miała lubić?

Czasem marzyła głośno o jakichś kryjówkach, w którychby tak dobrze można było się schować, żeby nikt nie znalazł; to o takiej wróżce, co jak stanie przed dzieckiem, to ani jej, ani dziecka nie widać.

Z tem wszystkim dziewczynka bladła mi jakoś, i czas niepokoju jej nie zmniejszał. Zawsze miała niewidzialnego stracha za plecami, a wzrok, który kiedy niekiedy za siebie rzucała, miał w sobie wyraz nerwowej trwogi...

Mrozy silne trwały bez przerwy, tak że bałwan ze śniegu stał jeszcze na dziedzińcu z wlepionemi w moje okno oczami...

— Dzieckoby zmarzło, żeby je w taki mróz zabrali — rzekła mi Dorotka jednego dnia, kiedy wiatr huczał silniej na dworze.

Ani prośby, ani gniew, ani rezonowanie *) nie mogły jej oderwać od dręczącej ją myśli.

Jakoś w połowie lutego wybrałem chwilę, w której fabryka zatrudniała robotników, a Dorotka pompowała wodę, i poszedłem na górę. Zapytałem Janowej, czy wie cokolwiek o sprawie Dorotki, czy wzywano ją dla jakich objaśnień do urzędu. Ostrzegłem ją, że trzeba było oszczędzić dziecku nowych zatargów z policją.

— A cóż ja nieszczęśliwa poradzę? — odparła kobieta. — Mąż tam chodził, to mu powiedzieli, że jeszcze pismo nie przyszło.

— Możeby złożyć świadectwo, że stan zdrowia Dorotki nie pozwala na jej wyjazd... Tymczasemby przyszło pismo...

— Abo ja tam wiem! Możeby tak dobrze było... Pan tam się lepiej zna...

— Uważacie, że Dorotka zmizerniała teraz i posmutniała?

— Jużci posmutniała... i jeść tak nie może... i wciąż jakby się czegoś bała...

Napisałem świadectwo podług przyjętej prawnej formy; kobieta zaniosiła je na policję, nie zostało jednak przyjęte. Odpowiedziano, że stwierdzenie choroby mogłoby opóźnić odstawienie do granicy poddanej rosyjskiej, ale stwierdzenie to musi uczynić doktor Niemiec.

Miasteczko oprócz mnie posiadało tylko jednego lekarza. Był on Niemcem i miał sławę uczciwego człowieka. Poszedłem do niego i opowiedziałem całą sprawę. Zwróciłem jego uwagę na spazmatyczny atak**), którego byłem świadkiem u dziecka, przy pierwszej wizycie żandarma.

*) Rezonowanie — rozprawianie, przemawianie do rozsądku.

**) Spazmatyczny atak — chorobliwy napad.

Doktor Rödler słuchał mnie pilnie i z powagą.

— Ale to niepodobna! — rzekł spokojnie — to tylko gorliwość bardzo dobrze świadcząca o politycy pruskiej; wszakże sam fakt, że dziewczynka jest niedorośła... No, naturalnie, nic dziwnego, że jej opiekunowie, ludzie prości, wylękli się... ale pan, człowiek uczony... to jest poprostu śmieszne...

— Wydadz pan to świadectwo dla uspokojenia prostych ludzi i dziecka...

— No, jeżeli mnie wzywają... mogę je wydać... muszę jednak naturalnie zobaczyć... choć to zupełnie niepotrzebne, jeżeli idzie o obronę przeciwko prawu... Polacy są zawsze skłonni do przesady...

— Ja się zupełnie tak samo, jak pan, zapatruję na sprawę tego dziecka... jestem pewien, że go nie zmuszą do opuszczenia rodziny, ale boję się, żeby nie przyszło do nowych odwiedzin policyjnych, co by mogło przerazić dziecko i kobietę karmiącą.

— Ale niepodobna, niepodobna!.. To musiało być proste nieporozumienie... Dziecko ma lat ośm, jak pan utrzymujesz?

— Tak, ośm.

— No, więc cóż tu mówić?... Niema wątpliwości, że to nieporozumienie.

Na moją ponowną prośbę zgodził się jednak towarzyszyć mi i wszedł poważnie do skromnej izby na strychu. Pokazałem mu Dorotkę; przełękła się, słysząc język niemiecki. Niedokładnie go rozumiała i podejrzewała widocznie, że jakiś targ o nią odbywał się między mną a moim starszym kolegą.

Doktor Rödler zbadał ją dokładnie z niezachwianym spokojem i powagą.

— Dziecko jest zdrowe — wyrzekł stanowczo. — Jest może trochę wrażliwe, trochę zdenerwowane, ale to nie jest właściwie chorobą. Fałszywego świadectwa wydać przecież

nie mogę... Wrażliwości, czułości, tchórzostwa nie mogę nazwać stanem patologicznym*).

Zapłaty od Janowej przyjąć nie chciał, skinął nam wszystkim poważnie głową i wyszedł.

Nazajutrz poszedłem do urzędu. Komisarz pisał jakiś raport i zdawał się być bardzo zajęty. Odwrócił głowę, rzucając mi chmurne spojrzenie.

— Czego pan sobie życzy?

— Przyszedłem w sprawie córki Macieja Krawczyka... dziecka ośmioletniego, które dostało rozporządzenie opuszczenia kraju przed pierwszym marca.

— Czy pan jesteś jej opiekunem?

— Jestem doktorem, leczącym tę rodzinę.

— Przyślij pan opiekuna... Nie mam obowiązku objaśniać każdego, kogo ciekawość skłania do zapytań.

Zagłębił się na nowo w pisaniu. Bałem się natarczywością zaszkodzić Dorotce, której sprawa leżała w ręku tego człowieka. Wyszedłem rozdrażniony bezskutecznością moich zabiegów. Wracając do domu, spotkałem Janową. Miała twarz zafrasowaną. Zapytana, wyznała mi, że mąż jej miał poprzedniego wieczora kłótnię z robotnikiem Niemcem. Szło o jakąś mowę księcia Bismarka**). Janowa nie wiedziała, co to była za mowa. „Jużci pewno niemiecka“, ale między robotnikami przyszło do rozmowy na pięści. Wmieszał się w to żandarm, i Jana skazano na karę pięniężną. Podczas tego zajścia żandarm zapytał z groźbą i złością, czy dziewczyna jest już za granicą. Jan odpowiedział, że oprócz żandarmów i komisarza w M... jest jeszcze landrat w W..., naczelnny prezydent w Poznaniu, jest minister, jest sejm, a on wszędzie dotrzeć potrafi.

*) Patologiczny — chorobliwy. **) Księżę Bismark był najwyższym urzędnikiem w Niemczech, wielkim wrogiem Polaków.

— Nic to dobrego — dokończyła Janowa, — że on z nim zadziera... Niemcy mściwe i uparte, i jakże się biednemu człowiekowi od nich obronić!... Oj, od śmierci i od Niemca nie ucieczesz!...

Dorotka zaśłyszała też coś o kłótni opiekuna z żandarmem. Była widocznie niespokojna i zatrwożona. Każdy niespodziany hałas przerażał ją, rzucała za siebie wzrokiem zaleknionym, a potem żegnała się: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego“. Maciejowa powiedziała, że tylko się za każdym razem przeżegnać, a złe przeminie.

— Za każdym razem? Ale coś się tobie zdaje, gdy na ciebie taki strach przychodzi?

— Tak we mnie wszystko zadygocze—odparła, — widzi mi się, że mię już biorą... Maciejowa mówi, że każde dziecko ma swojego własnego anioła stróża.

— Ma, ma własnego.

— I on nic nie robi, tylko pilnuje, żeby się jego dziecku nic złego nie stało?

— Tak: strzeże dziecka dzień i noc...

— Ale on mocniejszy od żandarma?

— Nawet od dwóch żandarmów.

— A od trzech?

— I od trzech — i od całego wojska.

— To on nie da zabrać dziecka od matki?

Nie wiedziałem, co począć z Dorotką; nie mogłem znaleźć sposobu na odsunięcie od niej tej wyłącznej, dokuczliwej myśli.

Dowiedziałem się od Janowej, że mąż jej podał prośbę do landrata. Był więcej, niż kiedy, rozdrażniony i wściekły. „Ani mu się na drogę nie nawijaj“.

Nadszedł ostatni dzień miesiąca. Przygrzewało już wiosenne słońce, zdziwione, iż mu przychodziło walczyć z niebywałą ilością śniegu. Zjadało go powoli na dachach

i dziedzińcach, bałwanowi pod mojem oknem wycisnęło z oczu brudne łzy, które, ryjąc brózdy na jego krzywem obliczu, nadawały mu jakiś wyraz przerażający. Zabierałem się właśnie do wyjścia, bo mię słońce wyraźnie wołało na przechadzkę, gdym usłyszał męskie kroki na schodach. Jakieś przecucie mną szarpnęło; otworzyłem drzwi i ujrzałem dwóch żandarmów, idących na strych... Pobiegłem za nimi i jednocześnie znalazłem się w mieszkaniu robotnika. Janowa karmiła dziecko, siedząc na ławie; Dorotka zamiatła izbę. Spostrzegłszy żandarmów, stanęła jak wryta, trzęsąc się cała. Gdy zaś jeden z nich zbliżył się i wskazuując ręką, zapytał po niemiecku: „To ta dziewczyna?“ Dorotka skoczyła nagle jak raniona sarna; w jednej chwili z przeraźliwym krzykiem znalazła się pod stołem. Klęcząc tuliła się do ściany, jakby ja chciała własnem ciałem przebić; oczy jej, jakby sparaliżowane, utkwione były w twarzy zbliżającego się ku niej żandarma. Za każdym jego krokiem krzyk jej stawał się głośniejszym, rozpaczliwszym. Słowa jej nie miały związku: było w nich coś o aniele stróżu, o mrozie, o wnukach cesarza. Na twarzy żandarma wyraz chmurnej gburowatości zmienił się w wyraz zdziwienia i niecierpliwości.

— Das dumme Ding! *) Czemu ona tak krzyczy?

Z temi słowy szarpnął Dorotkę za ramię. W tej chwili dziecko padło na ziemię z pianą na ustach... członki jego drgały... dostało konwulsyi. Zbliżyłem się, odsuwając żandarma.

— Co się jej stało? — zapytał zdziwiony.

— W'dzisz pan — rzekłem — ma konwulsye... Chcecie ją zabić... Toć to jest ośmioletnie dziecko... Czy przystoi żołnierzowi pastwić się nad takim biedactwem? W takim ataku umrzeć może.

*) Głupie stworzenie.

— Cóż ja temu winien? — rzekł żandarm — ja idę, gdzie mi obowiązek każe.

— Wyjdźcie stąd teraz jak najprędzej — zawołałem — niech was tu nie zobaczy, gdy przyjdzie do siebie... Niema obowiązku, któryby nakazywał dobijać biedne, chore dziecko...

Żandarmi skierowali się ku drzwiom.

— Trzeba to komisarzowi zameldować — rzekł jeden do drugiego. — Dziecko jest rzeczywiście małe i chore... ale prawo wyraźne...

W kilka minut członki Dorotki drgać przestały, atak się skończył. Wziąłem ją na ręce, położyłem na łóżku; nie pamiętała nic, twarz jej była wypogodzona, tylko zmęczona bardzo, oczy kleiły się do snu... Uśnęła i spała parę godzin niespokojnie. Siedziałem przy łóżku, czekając na przebudzenie się dziecka, bo dopiero wtedy mogłem podać przygotowane lekarstwo. Nagle Dorotka drgnęła we śnie całym ciałem, oczy przestraszone otworzyła szeroko; zerwała się na łóżku, i patrząc w jeden punkt jak obłąkana, krzyczeć i bezładne wyrazy wymawiać poczęła. Wziąłem ją w objęcia, chciałem uspokoić, tuliłem, przemawiałem do niej... nie słyszała mnie, nie rozumiała... Tylko dla niej samej widoczny, straszny jakiś przedmiot przykuwał jej wzrok... trzepotała w moich ramionach jak ptak, czujący, że w ciało jego wbijają się szpony drapieżne... Z pomocą matki wlałem jej do ust lekarstwo; ale gwałt, jakiego musieliśmy użyć, wzięła zapewne za przemoc pruskich urzędników, bo sprowadziło to nowy nerwowy atak, równie silny, jak poprzedni, po którym nastąpił znowu upadek sił i sen z majaczeniem i gorączką. Janowa płakała cicho, żeby nie zbudzić Dorotki; co chwila maczała ręcznik w wodzie ze śniegiem i okładała jej czoło i skroń, ale musiała też myśleć o innych dzieciach. Niemożliwe, które nakarmiła zepsutym od wielkiego wzruszenia pokarmem, było niespokojne, krzykliwe i chore; starsze

dzieci jeść wołały. Jan przyszedł na obiad chmurny, jak zwykle, zbliżył się do łóżka, popatrzył przez chwilę na szybko oddychającą Dorotkę, oczy jego zaiskrzyły się od gniewu czy bóleści, nie mówił nic, zgrzytnął tylko zębami, gdy mu kobieta szepnęła, że Dorotkę „słabość złapała“ na widok żandarmów. Ledwie tknął podanego mu jadła, zapalił fajkę i wyszedł z izby.

Chorą przysła odwiedzić Maciejowa. Gdy ze zwykłą pocziwych kum zarozumiałością i nieomylnością zawyrokowała, co Dorotce było i jakie ziele trzeba było przyłożyć kamieniem w polu, gdyby to nie była zima, poprosiłem jej, by w moim imieniu wezwała doktora Rödlera. Byłem początkującym lekarzem, i wyznaję, że niektóre objawy w chorobie Dorotki trwożyły mnie tem więcej, zem ich sobie wytłumaczyć nie umiał. Czekałem jak zbawienia przybycia kolegi, ale niestety! wyjechał był do chorego na wieś. Bilet mój z kilku słowami usilnej prośby Maciejowa oddała jego służącej.

Dorotka została wyłącznie na mojej opiece i odpowiedzialności. Robiłem, co mogłem dla biednej dzieciny, nie odstępowałem jej, w nauce rozpaczliwie szukałem środków zaradczych, ale choroba silniejsza była od nich... Podstępnie zwodziła mię i wyprowadzała w pole, okazywała mi chwilami nadzieję zwycięstwa, to znowu nagłym, niespodzianym zwrotem wytrącała z ręki broń przygotowaną. Gdybyż moje słowa uspokajające mogły się być przedostać do umysłu Dorotki! Gdybym był mógł z przed jej oczu usunąć owo jakieś straszne widmo, które ją do szalu doprowadzało! Na wstępie do karyery *), którą z dzieciństwa umiłowała moja wyobraźnia, spotykałem się z okrutnem dla lekarza przeznaczeniem: błędzenia w cie-

*) Karyera — droga życia.

mnościach, pomimo namiętnej żądy znalezienia światła. Teraz, gdy siedzę spokojnie, spisując niedawne wrażenia, liczne szczegóły tej choroby stają mi się jasnymi; ale wówczas komplikacje *) dziwne, jakie tylko nerwowe cierpienia wywołać mogą, stawały przed moimi oczami jak zagadki, nad których rozwiązaniem pękała mi głowa. Ha! zrobiłem, co mogłem, nie żałowałem własnego trudu... Wreszcie ujrzałem ją martwą w moich objęciach. Ostatniego ataku wytrzymać nie mogła... Kurcze nerwowe ciała, drganie twarzy uspokoiła śmierć... Tylko oczy otwarte szeroko pozostały z wyrazem rozpaczliwego przestachu. Zamknąłem je z mimowolnym uczuciem, że dając im ciemność, zasłaniałem przed nimi upiora, którego widok zabił dziecinę... Oddałem ją płaczącej głośno matce i rozprawiającej Maciejowej, a sam ze ściśniętym kurczowo gardłem patrzałem z automatycznym **) jakimś wyciężeniem na twarz dziecka, wypogadzającą się coraz bardziej, na biedne usteczka, z których śmiech uleciał...

W tej chwili wszedł doktor Rödler poważnym i spokojnym krokiem.

— Nie mogłem przybyć wcześniej... — począł.

— Wszystko skończone — przerwałem — dziecko nie żyje.

— I cóż to było? Pisałeś pan, że skutkiem przestachu...

— Tak... Nerwy dziecka gwałtownie wstrząśnięto. Na widok żandarmów dostało pierwszego ataku.

— Jakto? Żandarmi?...

— Przyszli ostatniego dnia miesiąca, zapewne, by przypomnieć termin wydalenia.

— Ależ to nie może być, — rzekł poważny Niemiec uspokajająco — to nie może być!... Niepodobieństwo...

*) Komplikacje — powikłania. **) Automatyczne — bezwiedne.

Proste nieporozumienie... Ze wszystkiego zaraz robicie panowie taką historję!

Nie odpowiedziałem nic. Spojrzałem na martwą Dorotkę. Biedne dziecię, gdyby śmierć twoja mogła być prostem nieporozumieniem!

Była wszakże rzeczywistością, niestety, faktem ciężko przygniatającym, bo nieodwołalnym, niezwalczonym... Ujrzałem nazajutrz Dorotkę w białej osinowej trumience, od której wieko z czarnym krzyżem stało oparte o ścianę. Ubrana była jak na święto; barwinek i różowe wstążki otaczały jej twarzyczkę... Spłakane oczy Janowej utkwione były w martwych rysach dziewczynki; biedna kobieta z załamanymi rękoma kiwała w takt głową, jakby rozpamiętywała stratę swoją. Gdy mię ujrzała, wybuchnęła głośnym łkaniem.

— Oj! co ja tu pocznę bez tej sieroty!—wołała żałośnie—jak ja sobie poradzę! Co mi też to dziecko wadziło, że mu życie zabrali! A jakie to było śmiejące się!... Albo to temu było źle na świecie?... I gniewać się na to nie było serca... A każdy to lubił... O, nieszczęsna godzina!

Przykląkłem dla odmówienia wedle zwyczaju pacierza przy zmarłej... Dopiero powstając spostrzegłem, że Jan był także w izbie. Stał za piecem w ciasnym kącie, który był przeznaczony dla dzieci, gdy on był w domu. Twarzą obrócony był do ściany, łokciami wsparty o przypiecek, i mogłem tylko widzieć jego plecy; ale coś w jego postawie powiedziało mi, że cierpiał. Fałdy starego surduta układały się w sposób świadczący o wielkiem zgnębieniu człowieka, którego ramiona ten surdut okrywał. Patrzałem na niego z litością i wyznaję, że mię ból przeczuwany w nim więcej wzruszył, niż głośna rozpacz Janowej.

W chwili, gdym począł badać stan chorego niemowlęcia, leżącego w kołysce, drzwi skrzypnęły — na progu stanął żandarm. Spojrzałem na środku stojącą trumnę, usły-

szął płacz kobiety; zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

— Dziewczyna... dziewczyna... począł jękać się.

Niemiecka mowa i głos policyanta ugodziły widocznie w samo serce Jana. Zgarbione jego ramiona wyprostowały się nagle, odwrócił się z wyzywająco podniesioną głową i zaiskrzonymi oczami. Rękami ścisnął poręcz krzesła, jak gdyby potrzebował łamać, gnieść choćby martwe drewno.

— Idź, powiedz komisarzowi—rzekł głucho z hamowanym, wściekłym gniewem, który drgał w jego głosie — że stało się, jak on chciał... jak chciało prawo pruskie.. wydalona!... wydalona radość mojego domu... wydalona pomoc matki z drobnymi dziećmi!..

Była taka żałość w ostatnich słowach Jana, iż sądziłem, że głośno zapłaczę... Ból stopił się w płomieniach gniewu.

— A teraz precz stąd! — krzyknął tak porywczo, że ażem zadrżał.

— Łakomi jesteście na nasze łzy, ale do mnie tu śmierć przyszła w gości, a przed nią nawet pruska głowa niech ustąpi!... a nie, to ją tem krzesłem rozwalę!..

Żandarm wymknął się cicho. Dopiero gdy był za drzwiami, pierś Jana podniosło rozdzierające łkanie.

Dorotka leżała cicho. Ani widok żandarma, ani krzyk przybranego ojca jej nie poruszył. Była już z pośród nas wydalona.

Opowiadanie o „Wydalonej“ osnute jest na tle walki, podjętej przez Prusaków dla wytopienia polskości. W roku 1885 wydano z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich około 40 tysięcy Polaków, starców, kobiet i dzieci, a nawet uczestników w wojnach z Austryą i Francją.

